

Książki tak pomysłowe to prawdziwa rzadkość.

MICHAEL CONNELLY

Steve Cavanagh

KŁAMCA

Jeden zna prawdę.
Drugi wierzy w kłamstwo.
Kogo **BAĆ SIĘ** bardziej?

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE LIAR

Copyright © Steve Cavanagh 2017
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2025

Redakcja: Ida Świerkocka

Projekt graficzny okładki: www.headesign.co.uk

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Przygotowanie okładki do wydania polskiego: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



2 sierpnia 2002
Północna część stanu Nowy Jork

Mała od dwudziestu minut zanosila się płaczem. Julie nakarmiła ją, przewinęła, poklepała po pleckach, żeby jej się odbiło, kołysała, nosiła na rękach i śpiewała jej kołysanki. Pod koniec ciąży przeczytała z pięć poradników i tego dnia po raz piąty spróbowała metody „kontrolowanego płaczu”. W książce napisano, że należy zostawić dziecko, aż samo się uspokoi, i zdaniem autorki była to istotna część treningu snu. Julie nie wytrzymała nawet zalecanych dwóch minut bez wchodzenia do pokoju i brania córeczki na ręce. W zamglonych zakamarkach wspomnień nie potrafiła odszukać chwili, w której jej własna matka tuliłaby ją i kołysała. Kiedy dziecko przyszło na świat, Julie z początku czuła się niezdarne, było coś niewłaściwego w tym, że trzyma w rękach to cenne, maleńkie życie. Zupełnie jakby nie zasługiwała na to, by powierzać jej coś tak nowego, tak czystego i kruchego.

Otworzyła drzwi do pokoju dziecięcego i szepcząc czule, podeszła do łóżeczka. Dziecko niemal natychmiast się uspokoiło. Rolety były opuszczone i jedynie lampka nocna rzucała słabe światło na twarz Julie. To wystarczyło, by mała widziała matkę i słyszała jej głos. Julie nie przestawała nu-

cić i z uśmiechem patrzyła, jak maleństwo powoli zasypia.

Najciszej, jak mogła, zaczęła wychodzić z pokoju i upewniwszy się, że elektroniczna niania jest włączona, zamknęła za sobą drzwi.

Zegar wskazywał dwudziestą drugą pięć.

Julie przeszła do prowizorycznej pracowni mieszczącej się w czymś, co mogło uchodzić za pomieszczenie gospodarcze. Ze sztalugi patrzył na nią oskarżycielsko na wpół ukończony obraz. Wsunęła do kieszeni dzinsów głośnik elektronicznej niani i rozejrzała się w poszukiwaniu fartucha. Znalazła go w kącie pokoju, włożyła i zabrała się do pracy. Pierwsze pół godziny minęło gładko, kiedy jednak pojawiły się dreszcze, pędzel zaczął ciążyć jej w dłoni, a linie – jeszcze chwilę temu precyzyjne i delikatne – stały się chwiejne i nierówne. Drżenie przybrało na sile i Julie poczuła znajomy, podszyty poczuciem winy głód. Dzień wcześniej jednym płynnym pociągnięciem namalowała czerwone dachówki – teraz wychodziły niezgrabne, chaotyczne i koślawe.

Potrzebowała działki.

Zdjęła fartuch, cisnęła go w ten sam kąt pracowni, skąd wcześniej go zabrała, i wyszła poszukać czegoś, co przyniesie jej ulgę. W głąb korytarza, naprzeciwko pokoju dziecięcego. Dotarła do nory, otworzyła drzwi i zamknęła je za sobą na klucz. Włącznikiem w ścianie uruchomiła wiatrak sufitowy, ustawiła go na najszybsze obroty i otworzyła okna. Sięgnęła po leżącą na biurku szklaną fajkę i wypełniła ją małymi białymi kryształkami, które trzymała w starej puszcze na tytoń.

Zapaliła fajkę i wciągnęła dym do płuc.

I jeszcze raz.

Po ciele Julie rozlała się słodka,ekliwa rozkosz. Serce zaczęło jej bić szybciej, wraz z euforią napłynęła fala ciepła

– zupełnie jakby ktoś otulił ją kocem.

Zaskoczył ją dźwięk zamykanych drzwi wejściowych. Scott w końcu wrócił. Wierzchem dłoni otarła czoło, bo od cracku niemal natychmiast oblała się potem. Odłożyła fajkę na biurko i otworzyła drzwi na korytarz.

Nikogo tam jednak nie było. Zmysły miała przytępione. Dźwięki wydawały się jednocześnie głośniejsze i bardziej stłumione. Jak gdyby ich źródło znajdowało się gdzieś blisko, a ona sama tkwiła pod wodą, która zniekształca wszelkie odgłosy i sprawia, że docierają one do niej z opóźnieniem. Nadstawiła uszu. Znowu to usłyszała. Ciche skrzypnięcie obluzowanej deski podłogowej w pokoju dziecięcym. Julie przecięła korytarz i powoli otworzyła drzwi.

Światło z korytarza rozlało się po pokoju.

W którym stał jakiś człowiek.

Odziany na czarno obcy mężczyzna pochylał się nad łóżeczkiem. Pokój zakolysał się i przechylił. Przy zaciągniętych zasłonach i opuszczonych roletach zaciemniających nie sposób było zobaczyć jego twarzy. Jednak im bardziej jej oczy przyzwyczajały się do mroku, tym więcej szczegółów dostrzegąta.

Nosił czarne rękawiczki z lśniącej skóry, a jego twarz i głowa wydawały się zniekształcone. Julie weszła do pokoju i zobaczyła, że mężczyzna ma na twarzy maskę.

To, co widziała, było tak wstrząsające, tak niepokojące i nierzeczywiste, a zarazem tak namacalne, że z początku nie zwróciła uwagi na woń. Poczula ją dopiero teraz. Silna. Przytłaczająca. Zbyt znajoma.

Benzyna. Wszystko w pokoju było nią zalane.

Zanim Julie ogarnęła panika, wszystkie jej zmysły zaczęły pracować na najwyższych obrotach. W tej samej paraliżującej chwili uświadomiła sobie, że dziecko przestało płakać.

Przez moment miała wrażenie, że spada. Ciemny pokój wybiegł jej na spotkanie. Sekundę później rzeczywiście upadła. Tuż przed tym, gdy uderzyła o podłogę, jej głowa eksplodowała bólem. Coś wilgotnego i lepkiego zalało jej oczy. Otarła twarz i spojrzała na umazane krwią ręce. Niezdarnie dźwignęła się na nogi, lecz niemal natychmiast znów ogarnęła ją ciemność. Mężczyzna w czarnych rękawiczkach chwycił ją za ramiona i wypchnął z pokoju dziecięcego na korytarz.

Julie nie mogła krzyczeć. Chciała krzyczeć. Potrzebowała krzyczeć. Panika ścisnęła ją za gardło, serce waliło jej jak piłka w bębnie pralki. Jedną z rąk puściła ją i Julie szarpnęła się, żeby uwolnić drugie ramię.

Coś z wielką siłą uderzyło ją w czubek głowy. Tym razem ból był natychmiastowy. Ogień w jej mózgu ogarnął czaszkę i spłynął z szyi aż na barki. Postać w czerni puściła jej ramię i przez ułamek sekundy Julie pomyślała, że już po wszystkim. Że pozwoli jej odejść. Pomyliła się.

Mocne dłonie rąbnęły ją w klatkę piersiową. Siła ciosu odrzuciła Julie w tył. Zdażyła jeszcze usłyszeć, jak bokiem głowy uderza o kant biurka. Chwilę później wszystko spoiła ciemność.

Cisza. Bezład. Sen.

Coś obudziło się we wnętrzu Julie.

Brzmiało tak, jakby ktoś dobijał się do drzwi. Dźwięk narastał. Jej głowa pulsowała tęnym bólem, który z każdą chwilą przybierał na sile. Zupełnie jakby ktoś obracał pokrętłem i zwiększał jego intensywność – aż w końcu stał się nie do wytrzymania.

Otworzyła oczy. Coś szarpnęło jej ciałem. Nie miała po-

jęcia, czy stoi, czy spada. Kręciło jej się w głowie. Rękami wymacała podłogę i podniosła się na kolana. Spróbowała zaczerpnąć tchu, lecz nie miała czym oddychać. Nie było powietrza, tylko gęsty, czarny dym. Kaszłąc, chwyciła się biurka i dźwignęła na nogi. Jej usta ułożyły się w dwa słowa.

Moje dziecko.

Zdołała się odwrócić i zobaczyła, że drzwi są uchylone. Po drugiej stronie czekała na nią istna ściana ognia. Żar smagnął jej skórę z niewiarygodną siłą. Miała wrażenie, że wpadła na płonący ceglany mur. Płomienie wylewały się z pokoju dziecięcego, trawiły sufit korytarza i wykładzinę. Julie wyciągnęła ręce i wyszła na korytarz, lecz nie była w stanie dostać się do pokoju dziecięcego. Nie mogła zajrzeć do środka, gdzie szalało istne piekło. Mimo że dym wciskał się jej do płuc, a łzy parowały na policzkach, Julie krzyknęła. Był to długi, rozdzierający serce wrzask.

Nie wiedziała, jak długo stoi pośród płomieni, które parzyły jej ciało, i ryku płonącego domu, który zagłuszał jej własny głos. Nagle sufit zatrzeszczał, a w tumanie gipsu i kurzu z piętra wyżej runęła na nią ciężka belka.

Julie leżała, to tracąc, to znowu odzyskując przytomność. Ściekająca z głowy krew chłodziła jej skórę. Pamiętała, że zanim spadła na nią belka, chciała dokądś pójść i coś przynieść, nie pamiętała jednak, co takiego. Gdy przed dom zajechał wóz strażacki, wiedziała, że jest smutna i że straciła kogoś albo coś.

W końcu zasnęła.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Było po północy, gdy względnie trzeźwy stałem przed budynkiem, w którym mieściło się moje biuro. Ubrany w najlepszy czarny garnitur, białą koszulę i zielony krawat, z wyglansowanymi butami i starannie uczesanymi włosami, czekałem na samochód mający zawieźć mnie w sam środek koszmaru na jawie.

Po tym, jak z baru na rogu wyszli ostatni bywalcy, Zachodnia Czterdziesta Szósta wydawała się dziwnie cicha. Klienci restauracji unikali stolików na zewnątrz. Woleli siedzieć w środku i dziękować Bogu za cudowny wynalazek, jakim jest klimatyzacja. Stałem na ulicy od zaledwie pięciu minut, a mokra od potu koszula lepiła mi się do pleców. Lipiec w Nowym Jorku oznaczał, że wszyscy na ulicach gotowali się z gorąca.

Latem wskaźnik przestępczości wzrastał, bo ludzi ogarniało jakieś szaleństwo. Mam na myśli ludzi, którzy przez resztę roku zachowywali się najnormalniej w świecie. Podczas gdy nowojorskie upały rozleniwiały prawdziwych przestępców, zwyczajni obywatele zaczynali świrować, a ich dłonie były mokre od potu i krwi. Zwykle wystarcza chwila, impuls, by człowiek dopuścić się wobec drugiego niewyobrażalnych rzeczy. Lipiec stanowił apogeum szaleństwa.

Od dwóch tygodni w Nowym Jorku trwała fala rekordowych upałów i nawet noc nie dawała wytchnienia.

W przeciwieństwie do większości prawników nie nosiłem aktówki. Ani notatnika. Właściwie nie byłem nawet pewien, czy mam przy sobie długopis. W kieszeni mojej marynarki znajdował się jeden dokument. Cztery strony tekstu z pojedynczą interlinią. Moja umowa na usługi prawne. Na dole było miejsce na podpis nowego klienta. Nie potrzebowałem nic więcej. Korzyść z prowadzenia jednoosobowej kancelarii była taka, że nie musiałem robić całego mnóstwa notatek na wypadek, gdyby ktoś inny musiał przejąć którąś ze spraw. Zeznania świadków, przesłuchania policyjne, daty rozpraw, wybór ławy przysięgłych – oprócz sporządzanych od czasu do czasu lakonicznych notatek – wszystko to miałem w głowie. Wyjątek stanowiły sprawy, o których nikt nie chciał pamiętać.

Pocąc się w garniturze, zastanawiałem się, czy sprawa, którą zamierzam przyjąć, okaże się jedną z tych, o jakich w nadchodzących latach będę chciał zapomnieć.

Ktoś zadzwonił jakieś dwadzieścia minut temu pod numer stacjonarny, nie na komórkę. Najpierw nie odbierałem. Tylko nieliczni mieli numer mojej komórki. Znali go moi najlepsi klienci, a także kilkoro przyjaciół i sierżantów dyżurnych z sześciu dzielnic, którzy informowali mnie o najciekawszych aresztowaniach.

Minęła północ, wiedziałem więc, że to nie moja żona ani córka. Czegokolwiek chciał dzwoniący, mogło poczekać.

Zaczekałem, aż włączy się automatyczna sekretarka.

*Biuro adwokata Eddiego Flynna jest teraz zamknięte.
Proszę zostawić wiadomość...*

- Panie Flynn, wiem, że pan słucha. Proszę odebrać.
- Głos należał do mężczyzny. Niemłodego. Czterdziesto-

może pięćdziesięciokilkuletniego. Wyraźnie starał się ukryć irlandzki akcent charakterystyczny dla klasy robotniczej z Brooklynu.

Zamilkł na chwilę, czekając, aż odbiorę. Dolałem odrobinę wody do bourbona i usiadłem na łóżku. Spałem w małym pokoiku na tyłach biura. Dzięki ostatnim, całkiem niezłym wypłatom zdążyłem odłożyć nieco na zaliczkę za mieszkanie. Na razie jednak musiało mi wystarczyć rozkładane łóżko na zapleczu biura.

– Nie mam wiele czasu, panie Flynn. Oto co zrobię. Przedstawię się panu, a pan będzie miał dziesięć sekund, żeby podnieść słuchawkę. Jeśli pan tego nie robi, rozłączę się i nigdy więcej pan o mnie nie usłyszysz.

Pomyślałem, że mogę się bez niego obejść. Gość zaburzył mi rytuał wychylenia szklaneczki przed snem. Jeden drink dziennie – tylko na tyle pozwalałem sobie ostatnio. Organizm upominał się o niego już o szóstej, odkryłem jednak, że najlepiej będzie, jeśli odłożę tę przyjemność na wieczór i napiję się tuż przed pójściem spać. Wypita powoli duża szklanka whiskey pomagała mi zasnąć, a bywało, że łagodziła koszmary. Nie. Postanowiłem, że niezależnie od tego, kim okaże się ten gość, nie odbiorę.

– Leonard Howell – usłyszałem.

Nazwisko od razu wydało mi się znajome, lecz o tej porze nie myślałem już trzeźwo. Po długim dniu spędzonym w sądzie i na spotkaniach z klientami, podczas którego nie miałem nawet czasu porządnie zjeść, byłem skołowany i mogłem nie pamiętać, jak sam się nazywam.

Cztery sekundy później przypomniałem sobie jednak, skąd znam to nazwisko.

– Panie Howell, tu Eddie Flynn.

– Miło pana słyszeć. Pewnie domyśla się pan, w jakiej

sprawie dzwonię.

– Oglądam wiadomości i czytam gazety. Bardzo mi przykro z powodu...

– Zatem zdaje pan sobie sprawę, że wolałbym nie rozmawiać przez telefon. Chciałbym wiedzieć, czy będzie pan później dostępny. Myślę, że będę potrzebował porady prawnej. Proszę wybaczyć, że mówię tak otwarcie, ale nie mam zbyt wiele czasu – ciągnął.

Miałem milion pytań, a żadnego z nich nie mogłem zadać podczas rozmowy telefonicznej. Stary przyjaciel rodziny potrzebował pomocy. Na razie nie musiałem wiedzieć nic więcej.

– Znajdzie pan czas o czwartej rano? – zapytał. Nie musiał nic dodawać. Wiedziałem, że coś się stało.

– Tak. Ale nie spotkam się z panem o czwartej. Jeśli jest coś, co mogę zrobić, wolałbym spotkać się teraz. Jak już mówiłem, śledzę wiadomości. Pamiętam pana z dawnego sąsiedztwa. Obstawiał pan mecze piłki nożnej dla mojego ojca. Zawsze pana lubił. Proszę posłuchać, naprawdę przykro mi z powodu pańskiej córki. Ja również przez to przechodziłem, więc doskonale wiem, co pan przeżywa.

Nie odpowiedział. Nie spodziewał się tego.

– Pamiętam pana tatę. I pana. Poniekąd właśnie dlatego dzwonię. Potrzebuję kogoś, komu mógłbym zaufać. Kogoś, kto rozumie moją sytuację.

– Rozumiem. Chciałbym, żeby było inaczej, ale naprawdę wiem, przez co pan przechodzi. Moja córka miała dziesięć lat, kiedy ją porwano.

– A pan ją odzyskał – zauważył Howell.

– Tak. Już grałem w tę grę. Jeśli chce pan, żebym pomógł, muszę natychmiast się z panem spotkać. Gdzie pan jest?

Howell westchnął i odparł:

– W domu. Wyślę po pana samochód. Skąd ma pana odebrać?

– Spod mojego biura. Będę czekał przed budynkiem.

– Kierowca przyjedzie za pół godziny – oświadczył, po czym usłyszałem kliknięcie, gdy się rozłączył.

Pomyślałem o Lennym Howellu. Nie lubił już, by ktokolwiek nazywał go Lennym. Znacznie starszy ode mnie, był znaną osobą w dzielnicy, w której dorastałem. Zaczynał jako zwykły bandzior. Od drobnych przestępstw i włamań. Pochodził z biednej rodziny i nie miał łatwego życia. Ojciec często bił go na schodach przed ich budynkiem. Pewnego dnia zobaczył to mój tata i odbył ze starsuszką Lenny'ego męską rozmowę. Od tamtej pory pan Howell nigdy więcej nie podniósł ręki na syna, a Lenny nie dopuścił się już żadnego włamania. Pracował jako goniec dla mojego ojca i uczył się od niego przyjmowania nielegalnych zakładów. Nie znałem go za dobrze – był pierwszą osobą, która nauczyła mnie kantować. Pewnego dnia Lenny poszarpał się trochę z żołnierzem piechoty morskiej, który we wtorek nie mógł spłacić długu po tym, jak w poniedziałek postawił na niewłaściwą drużynę. Żołnierz skopał mu tyłek, a potem powiedział, że chłopak sam powinien się zaciągnąć. Polubił młodego Howella i wziął go pod swoje skrzydła. Wstąpienie do armii odmieniło Lenny'ego. Zerwał stare znajomości i skończył z dawnym życiem. Znałem to uczucie. Gdy miałem dwadzieścia kilka lat, byłem kanciarzem, ale porzuciłem to, by zostać prawnikiem. Ostatnie lata uświadomiły mi jednak, że nie sposób odciąć się od przeszłości.

Trzy dni wcześniej oglądałem w telewizji konferencję prasową Lenny'ego Howella. Transmitowały ją wszystkie najważniejsze kanały informacyjne w kraju. Po lewej ręce

Lenny'ego siedział komendant policji, a po prawej żona, Susan, którą poślubił zaledwie cztery lata temu. Na serdecznym palcu obok obrączki miała pierścionek z kamieniem, który błyszczał w blasku fleszy i był tak ogromny, że patrząc na niego, zastanawiałem się, jak to możliwe, że jej szczupły palec jest w stanie utrzymać taki ciężar. Gdybym był doradcą Howella, powiedziałbym mu, żeby poszedł do telewizji sam.

Prawie się nie odzywał. Bo i nie było takiej potrzeby. Kiedy zdjął okulary i spojrzał w kamerę, rozpacz w jego oczach mówiła wszystko. Gdy w końcu przemówił łamiącym się, pełnym napięcia głosem, jego słowa utkwily mi w głowie, ponieważ sam byłem kiedyś na jego miejscu i znałem ten ból.

– Kimkolwiek jesteś, proszę, nie rób krzywdy mojej córce. Oddaj mi Caroline, a przysięgam, że nic ci się nie stanie. Chcemy ją tylko odzyskać.

Caroline Howell miała siedemnaście lat i zaginęła dziewiętnaście dni wcześniej. Konferencje prasowe w jej sprawie odbywały się regularnie, ta jednak była pierwszą z udziałem jej ojca. Howell wiedział o zaginionych ludziach więcej niż ktokolwiek inny. Służył w piechocie morskiej i przez dwadzieścia lat wysyłano go na fronty wszystkich głównych konfliktów. Wrócił jako bohater wojenny i rozpoczął pracę w organach ochrony porządku publicznego. Od dziesięciu lat zarabiał krocie, prowadząc Howell's Risk Management, firmę oferującą ochronę osobistą, negocjacje z porywaczami, rozpoznanie wrogiego środowiska i ocenę zagrożenia.

Niewielu ludzi w kraju wiedziało więcej na temat porwań, odbijania zakładników i negocjacji. A teraz córka Howella padła ofiarą porwania.

Pamiętam, jak apelował do porywaczy Caroline – mówił

wszystko to, co należało powiedzieć, słowo w słowo trzymał się scenariusza. Raz za razem powtarzał jej imię, ale widziałem to w jego oczach. Słyszałem rozpacz w jego głosie. Kiedyś mój głos brzmiał dokładnie tak samo. Kilka lat temu porwano moją córkę. Nasz koszmar trwał zaledwie dwa dni, wciąż jednak mnie prześladował. Nie odzyskałbym jej z rąk rosyjskiej mafii, gdyby nie ludzie, którzy mi pomogli.

Za każdym razem, gdy widziałem w telewizji twarz Howella albo jego zdjęcia na pierwszych stronach gazet, czułem ucisk w piersi. Zupełnie jakbym patrzył na fotografię siebie z przeszłości. Kiedyś to ja byłem tym człowiekiem.

Musiałem zetrzeć skroploną parę z tarczy zegarka, żeby zobaczyć, która jest godzina. Od naszej rozmowy minęły dwadzieścia cztery minuty. Przed barem o nazwie Brews zatrzymał się czerwony volkswagen sedan. Kierowca nachylił się do szyby w drzwiach pasażera i uważnie mi się przyglądał. Nie takiej podwózki oczekiwałem. Spodziewałem się mercedesa albo wypasionego bmw. Howell nie wysłałby po mnie czegoś takiego.

Facet wysiadł z volkswagena i włożył białą bejsbolówkę. Miał na sobie spłowiały czerwony T-shirt z logo Arnac Deliveries na piersi. Z tylnego siedzenia wyjął owiniętą w brązowy papier paczkę, na której położył białą kopertę. Zamknął drzwi samochodu i przebiegł przez ulicę z paczką i kopertą pod jedną pachą, a podkładką do pisania pod drugą.

– Eddie Flynn? – zapytał.

Stężałem. Było za późno na doręczanie przesyłek, a gość ewidentnie nie miał nic wspólnego z Lennym Howellem. Dyskretnie zerknąłem w prawo i w lewo. Na ulicy nie było żadnych pieszych, a więc koleś nie miał żadnych kumpli, którzy by go wsparli. Wiedziałem na pewno, że nie jest kurierem. Odwróciłem się w prawo, żeby utrudnić mu zadanie

na wypadek, gdyby miał nóż ukryty w kieszeni džinsów.

Uśmiechał się, był to jednak sztuczny, nieszczerzy uśmiech. Ręce miałem wolne i byłem gotów przywalić mu w twarz, jeśli tylko wykonałby jakiś gwałtowny ruch.

– Nazywam się Eddie Flynn i nie spodziewam się żadnej przesyłki.

Mężczyzna położył paczkę i podkładkę na chodniku i wziął do rąk kopertę. Gdy tylko to zrobił, wiedziałem już, z kim mam do czynienia.

Wyciągnął kopertę w moją stronę, ja jednak jej nie przyjąłem. Podszedł do mnie powoli, stanął tak blisko, że niemal stykaliśmy się nosami, przytknął mi kopertę do piersi i powiedział:

– Przesyłka została dostarczona.

Gość był doręczycielem sądowym. Ludzie tacy jak on dniami tropili mężczyzn i kobiety, a gdy ich znaleźli, wręczali im koperty, których tamci nie chcieli przyjąć. Dlatego udawali kurierów, turystów pytających o drogę albo nowych klientów. Ja jednak nie spodziewałem się żadnych dokumentów. Jeśli facet chciał mnie znaleźć, mógł przyjść o bardziej przyzwoitej porze, jak większość doręczycieli. Uznałem, że ktokolwiek wynajął tego człowieka, poinstruował go, o której dokładnie ma zjawić się z przesyłką. Celowo wybrał tak późną porę, żebym przez resztę nocy nie zmrużył oka. Wodząc dłońmi po niezaadresowanej kopercie, pomyślałem, że to może być tylko jedno – papiery rozwodowe.

Otworzyłem kopertę. Nie było to pismo od adwokata mojej żony, Christine. Było to wezwanie do przedstawienia w sądzie wszystkich dokumentów i akt związanych z niejaką Julie Rosen. Akta miały być dostarczone do biura doręczyciela sądowego w ciągu czternastu dni. Z tego, co udało mi się wyczytać z dokumentu, miało to związek z apelacją w

sprawie „Społeczeństwo przeciwko Julie Rosen”.

Nic mi to nie mówiło. Byłem pewien, że nigdy nie reprezentowałem nikogo o tym nazwisku. W wezwaniu napisano, że zostało ono przygotowane przez apelanta, lecz – jak to zwykle bywa – nie podano w nim nazwisk prawników reprezentujących Rosen.

– Hej, kim są prawnicy Julie Rosen? – spytałem.

Facet nie odpowiedział i odwrócił się do mnie plecami, co, zważywszy na okoliczności, było niezbyt mądrym posunięciem. Wsunąłem wezwanie do kieszeni marynarki i patrzyłem, jak gość pochyla się, żeby podnieść paczkę i podkładkę do pisania.

Nawet na mnie nie patrząc, rzucił tylko:

– Poszczyściło mi się. Miałem zadzwonić do twojego biura i odwalić całą tę szopkę z doręczeniem, ale oszczędziłeś mi wspinaczki po schodach. Słodkich snów, kolego.

– Kim są jej prawnicy? – powtórzyłem.

Wciąż się nie obejrzał i ruszył w stronę samochodu.

– To poufne. Wiesz, że nie mogę powiedzieć.

– Nie chcesz odzyskać swojego portfela, Brad?

Zatrzymał się, poklepał po kieszeniach i odwrócił.

– Jak to...

W jednej ręce trzymałem jego otwarty portfel, a w drugiej prawo jazdy.

– Powinieneś wiedzieć, że lepiej nie odwracać się plecami do nieznamych. Teraz wiem, gdzie mieszkasz, Brad – powiedziałem i wsunąłem prawo jazdy z powrotem do portfela. – Jak chcesz go odzyskać, będziesz musiał powiedzieć mi, kto dał ci wezwanie. I kto reprezentuje Julie Rosen.

Skrzywił się i pokazał zęby, po czym cisnął na ziemię atrapę paczki oraz podkładkę i zacisnął pięści.

– Zaraz ci przypierdolę – mruknął i ruszył w moją stronę.

Z pięściami pod brodą wyglądał jak awanturnik ze starożytności. Patrząc na niego, wiedziałem, że nie umie się bić. Pierwsze, czego nauczyłem się dwadzieścia lat temu w siłowni Mickeya Hooleya w Hell's Kitchen, to jak przywalić komuś, żeby nie złamać sobie nadgarstka. Mickey pokazał nam, że trzeba nachylić nadgarstek pod kątem czterdziestu pięciu stopni, tak żeby kłykiec palca wskazującego tworzył prostą linię z łokciem. Taki kąt nachylenia angażuje wszystkie drobne mięśnie wokół nadgarstka i wzmacnia cios.

Mogłem przeciwzyć to na Bradzie. Mogłem przywalić mu w tę jego paskudnie skrzywioną gębę i poniekąd kusilo mnie, by to zrobić. Gość pewnie myślał, że jest twardzielem. Miałem ochotę pokazać mu, że się myli, lecz tego nie zrobiłem. Doszedłem do wniosku, że będzie bardziej rozmowny, jeśli zachowa wszystkie zęby. Zatrzymałem go czymś znacznie bardziej skutecznym niż prawy prosty.

Wyjąłem z portfela banknot studolarowy i zamachałem nim przed twarzą.

Brad zwolnił i powoli opuścił ręce. Postanowiłem wykorzystać sytuację i zadać mu kilka pytań.

– Jaka jest teraz stawka za osobiste doręczenie wezwania sądowego? Dwieście? Dwieście pięćdziesiąt? Jeśli odliczyć od tego to, co musisz oddać firmie, podatki, paliwo i ubezpieczenie, ile ci zostaje? Pewnie jakieś osiemdziesiąt dolców. Mam rację?

Zatrzymał się kilka kroków ode mnie. Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, po czym spojrzął na studolarówkę w mojej dłoni.

– Osiemdziesiąt dziewięć pięćdziesiąt – odparł.

Jako prawnik korzystałem z doręczycieli pozwów na całym Manhattanie. Znałem najtańszych, znałem najlepszych i doskonale wiedziałem, ile biorą i jak na tym wychodzą.

– Mogę zrobić jedną z dwóch rzeczy, Brad. Decyzja należy do ciebie. Mogę z samego rana zadzwonić do zaprzyjaźnionej protokolantki, która powie mi, kto wydał wezwanie, i będzie mnie to kosztować pudełko paczków. Albo możesz zaoszczędzić mi zachodu, a ja włożę tę setkę do twojego portfela i oddam ci go. Ty decydujesz.

Brad otarł usta i wlepił wzrok w banknot.

– A jeśli się dowiedzą? Mogą mnie wylać – zauważył.

– Ode mnie się nie dowiedzą. Nikomu nie powiem, że wiem to od ciebie. Będą myśleli, że zauroczyłem protokolantkę.

Rozchyliłem kieszeń, w której Brad trzymał gotówkę. W portfelu panował porządek. Nie był pękaty od starych paragonów czy wizytówek. Prawo jazdy i karty kredytowe spoczywały w oddzielnych przegródkach. W sumie miał przy sobie sto czterdzieści siedem dolarów ułożonych według nominałów – dwie jednodolarówki, trzy pięciodolarówki, jedna dziesiątka, za nią dwudziestka i na końcu banknot studolarowy. Wsunąłem koniuszek mojej setki między jego setkę i dwudziestkę i wyciągnąłem portfel w stronę Brada.

– Ostatnia szansa – powiedziałem.

– Copeland. Prawnik to Max Copeland – rzucił.

Poczułem chłód pełznący mi po plecach.

Na jego oczach wsunąłem banknot do portfela, który zamknąłem i rzuciłem w jego stronę. Brad złapał go i schował do przedniej kieszeni. Nauczył się już, że nie należy trzymać portfela w tylnej. Chyba że na łańcuszku. Patrzyłem, jak podnosi z ziemi paczkę i podkładkę, wsiada do samochodu i odjeżdża.

Nie zajrzał do portfela, widział przecież, jak wyciągam setkę z kieszeni i wsuwam ją między banknoty. Otworzyłem prawą dłoń i rozłożyłem należącą do niego studolarówkę,

którą chwilę wcześniej wyjąłem ukradkiem z jego portfela i ukryłem między palcami. Brad nie zauważył tego, bo nie chciałem, żeby cokolwiek widział. Wsunąłem rękę do jego portfela, żeby włożyć do niego swoją setkę, nie dostrzegł jednak, jak wyciągam tę należącą do niego. Patrzyłem na nią teraz i myślałem o Maxie Copelandzie.

Jakieś trzy lata temu – plus minus kilka miesięcy – tylko nieliczni spoza branży prawniczej wiedzieli cokolwiek na temat Maxa Copelanda. Nie reklamował się, nie figurował w branżowym wykazie firm i instytucji, nie miał strony internetowej ani nawet tabliczki przed drzwiami biura. Był znany w środowisku prawniczym wyłącznie z powodu swojej reputacji. Max Copeland reprezentował jedynie najgorszy rodzaj klientów i robił to z dziką rozkoszą. Dopiero po artykule opublikowanym w „Washington Street Journal” opinia publiczna dowiedziała się o jego istnieniu.

Artykuł zatytułowany był *Adwokat diabła* i jakkolwiek banalnie to brzmiało, tym właśnie był Max. Reprezentował pedofilów, dzieciobójców, seryjnych zabójców i gwałcicieli. A robił to tylko po to, by dzięki niemu mogli uniknąć kary i wrócić na ulice. Nigdy go nie poznałem i nie miałem na to najmniejszej ochoty. Z facetami jego pokroju było mi nie po drodze.

Zresztą i tak nie miało to znaczenia – nigdy nie reprezentowałem żadnej Julie Rosen i byłem niemal pewien, że nie mam żadnych jej akt.

Zza rogu budynku wylało się światło reflektorów. Chwilę później moim oczom ukazał się robiony na zamówienie lincoln – czarny, piękny, z dziewiętnastocalowymi chromowanymi felgami i lakierem tak wypucowanym, że lśnił jak kamień na palcu Susan Howell.

Limuzyna zatrzymała się przede mną. Wsunąłem wezwa-

nie do kieszeni marynarki i nieco za późno uświadomiłem sobie, że byłoby lepiej, gdybym nie odebrał telefonu od Leonarda Howella. Może to przez to wezwanie, a może tak podygotało na mnie nazwisko Copelanda, ale miałem ochotę poprosić kierowcę lincolna, żeby przekazał swojemu pracodawcy, że jest mi przykro, ale zmieniłem zdanie.

Noc zaczęła się kiepsko, a ja miałem przeczucie, że zakończy się jeszcze gorzej.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).